

J. I. KRASZEWSKI.

POMYWACZKA.

Opowiadanie z życia księcia Józefa Poniatowskiego.

Życie w końcu XVIII wieku, szczególnie w kraju naszym, miało barwę, jakiej dziś próżnoby w niem szukać.

Piszą, że około tysięcznego roku ery naszej, spodziewają się końca świata przepowiedzianego, ludzie zupełnie na sprawę jego zobojętnieli. Daje się to czuć w dziejach dziesiątego wieku zawieszeniem wszelkiej działalności; w wieku XVIII przeciwnie ludzie widzą, że ten ich świat się kończy, ale w szatach szukają zapomnienia katastrofy codzienn bliższej, widoczniejszej codziennie. W wyższych warstwach społeczności śpieszą używać bez rachuby, rzucając przez okna co się trafi pod ręką... a tej stypie ostatecznej towarzyszy suchy śmiech obłąkanego, który z zaciętością bierze się do niszczenia.

Mniejsza o pożądane majątności na zbytkach bezmyślnych, o zmarnowane miliony, o rozproszone zapasy wiekowe i opróżnione skarbce dziadowskie; gorszem jest to niszczenie w sobie charakteru i dostojności lat przeszłych, to dobrowolne zniżanie się i kąpienie w rynsztokach, gdy marmurowe łożnice nie smakują.

Kraj cały wre jakimś szaleństwem niepojętym, kobiety, młodzież i starce zarówno. Wśród tej orgii rzadki głos zwiastuje dni ciężkiej pokuty, ale nikt go nie słucha, pijani śmieją się z niego. W głębi serc naszych znać, że prorokowi wierzą, ale myślą, że gdy fatalnego losu odwrócić nie można, resztki biesiady spożyć przynajmniej potrzeba.

Od peruk i fraków rozpacz bezpamiętna na jutro przechodzi do kontuszów i konfederatek; siwe podgolone czupryny dymią i stolica od nich się pali.

Na dnie tego zamętu są przecie i fusy saskiej epoki, pozostałości, miłostek i bankietów, jest wszczepione bezprawie i pogarda starej obyczajności prostoty. Przypatrując się bliżej Stanisławowskim czasom, znajdziesz w nich, jak w za-

— 46 —

nie strzeż się!... strzeż!... Młodość nie umie ocenić życia,
traca się zuchwale...

Julka wcale nie przelekła się tych wyrazów, uczucie
napędziało oczy jej łzami; podniosła je z wolna na portret
księcia i dodała:

— Bądź pani spokojna... Ten, którego kocham, nie
jest pospolitym człowiekiem, ani powszednim egoistą, wy-
sytającym kwiaty motylem; więcej ja mu winnam, niż po-
święcić dla niego mogę... Z radością, ze szczęściem poniosę
życie w ofierze... i nie zakłócę jednej jego godziny... Ode-
pchnie mnie, pójdę w milczeniu i nie jęknę...

To mówiąc, ukłonem poważnym pożegnała Annę, która
postawszy jeszcze chwilę, dosyć pomieszana i prawie za-
wstydzona, powoli wysunęła się z pokoju... Julia padła na
kanapkę zemdlona.

Z tego wejrzenia na Julię, na domek, w którym mie-
szkała, na to małe a skromne gospodarstwo wiejskie, Anna
wyniosła tylko jedną naukę, zdawało się jej, że książę, aby
kochać, potrzebuje miłość oprawić w ramki drewniane
i bluszczem ją ustroić, że chce cichego, skrytego, jakiegoś
sielskiego kochania. Płocha wietrzniczka dostrzegła tylko lu-
pine, nie pojmowała istoty przywiązania i tego, co je ro-
dziło.

— Ale ona wcale nie jest piękna, mówiła wracając do
siebie: sądziłam ją daleko ładniejszą; ręce czerwone... choć
zresztą małe i kształtne... coś pospolitego w postaci... trochę
młodości... nie lękam się jej... Książę chce widocznie sie-
lanki. O! potrafimy przecie i my ją skomponować.

Z głową rozplomienioną wpadła do domu, a przed
bramą zastała właśnie Dziobatkę, która odjeżdżała nie za-
stawszy jej. Wychyliła się z karety, przywołując przyjaciółkę
i obie razem weszły do salonu. Na twarzy malowało się
niezwykłe uczucie.

— Nie powiesz nikomu? szeptać zaczęła gospodyni,
zatraskując drzwi gabinetu. Słowo?...

— Najświętsze!

— 47 —

— Słuchajże! widziałam ją! byłam u niej!

— U kogo?...

— U kochanki Pepi. Doszłam, dotarłam, widziałam ją
własnymi oczyma... wiem wszystko.

— A! mów! mów! jakże to wygląda?

— Fantazyja zdziwałego człowieka... niby sielanka! za-
częła nieporządnie odpowiadać Anna, mieszając to co wy-
działa, co chciała zrobić, co sądziła i co się jej zdawało.

Widzenie się z Julią, rozmowa z nią, w ustach ko-
biety, której głowa zawsze czynniejszą była niż serce, przy-
brało dziwne rozmiary i charakter; zrobiła z niego scenę
dramatyczną, przekreconą, uzupełnioną i artystycznie posztu-
kowaną... Co szczególna, że własna Anna kompozycyja,
zmieszana ze wspomnieniem świeżem jeszcze, utworzyła
dla niej nieprawdziwą prawdę, w którą jak najświęciej
uwierzyła.

Dziobatka słuchała trochę niedowierzająco, ale dosyć
sympatycznie.

— Wiesz co uczynię? dodała w końcu Anna: natych-
miast najmę domek w alejach; ustroję go, przebiorę się
za dziewczkę prostą i jestem pewna, że księcia Józefa mieć
będę, że mu się oczy otworzą... *Elle est si commune!*

— Czekaj! myśl lepsza daleko, przerwała przyjaciółka.
Oddalić tę panienkę, a zająć jej miejsce... zastanie ciebie
w jej miejscu, to się przyczyni do wrażenia; ona mu się
już też znudzić musiała...

— Pst! pst! cicho! i tajemnica jaknajwiększa! Zoba-
czymy!

Potem trwały jeszcze długo narady i przyjaciółki ro-
zeszły się w jak najszcześliwszem usposobieniu, całując się
serdecznie, co dowodziło, że jedna drugiej były w tej chwili
potrzebne.

Przez kilka dni nic nowego nie zaszło. Julia przecho-
rowawszy odwiedziny Anny i długie omdlenie, na usilne
prośby pani Lagrange, która się obawiała, aby jej książę
nie oddalił i za opieszałość się nie gniewał, postanowiła